

Kto winien?



ELIZA ORZESZKOWA

Kto winien?

I

Nie była już młodą, lecz twarz jej zachowała delikatność rysów i cery, kibić — wysmukłość kształtów, a oczy z gorącą źrenicą tę zdolność do odbijania w sobie wewnętrznych wzruszeń, która oczom ludzkim nadała nazwę zwierciadeł duszy. Ciemna suknia jej, łącząca w sobie wykwintność z prostotą, skrajem swym dotykała pięknego kobierca, rozсланego u stóp sprzętu, na który z rękoma załamanemi opadła była przed chwilą, wnet po wyjściu stąd istoty młodziutkiej, ślicznej, szeleszczącej jedwabiami, roześmianej śmiechem przykrym, kołącym.

To, co ją otaczało, nie było bogactwem, ani przepychem, lecz dostatkiem, przez dobry smak i zamilowania szlachetne upiękaszonym. Pokój, w którym się znajdowała, tchnął zaciszą domową i wdziękiem; było w nim trochę ładnych rysunków, trochę kwitnących roślin, wiele książek. Przez dwa duże okna, z za fałd firanek, zaglądało do tego pokoju szare niebo jesienne, a w napełniającą go ciszę wlewał się oddalony gwar wielkiego miasta, — oddalony dlatego, że była to dzielnica miasta ustronna, cicha, wybrana za siedlisko może przez umysł, lubiący skupiać się i myśleć, może przez serce zmęczone, pragnące spokoju, spoczynku.

Lecz dalekiemi w tej chwili były od niej spokój i spoczynek. Załamane jej ręce leżały na kolanach jak martwe, czy skamieniałe; oczy, utkwione w kobiercu, płonęły żalnością i gniewem, pochylone czoło przerznięta zmarszczka bolesna od brwi zsuniętych do włosów gdzieś posrebrzonych siwizną.

Ciemne włosy jej były gdzieś posrebrzone siwizną, lecz bujne i lśniące, a ręce wyszczuplałe, lecz białe i kształtne. Dostatek, w którym żyła i przyzwyczajenia estetyczne niezwykle długo chroniły ją od szpetnego pozoru ciał zestarzałych i zniszczonych. Ale cierpiała.

Młodziutka, śliczna, jedwabiami szeleszcząca istota, która przed chwilą pokój ten opuściła, była bardzo bliską jej sercu i nie po raz już pierwszy dotkliwie to serce zraniła. Była to jej córka, przed rokiem zaledwie poślubiona i już od domowego ogniska odrzucona, nie przez żadne nieszczęście i nie przez żadne z tych uczuć, których szczerłość lub wielkość same plamy oczyszczać i błędy uszlachetniać mogą, lecz przez złe siły, z którymi na świat przyszła, i których żadne starania, usiłowania, wpływy zwalczyć nie zdołały.

Pospolite zresztą były to siły: zmysłowość i próżność, żądza używania i jaśnienia. Wspierały je oschłość serca i ograniczoność umysłu, a w oręż zdobywczy, w niezachwianą pewność praw do wszystkiego i triumfów nad wszystkim, zaopatrywała piękność anielska.

Anielska, bo gdy dziś, w tym pokoju, naprzeciw matki stojąc, słuchała jej słów gorących i wzruszonych, to liljową białością czoła, niebiańskim błękitem oczu, falami włosów złotych, słodyczą rozlaną po różanych ustach, skromnością postawy o linjach smukłych i nieledwie lotnych aniołowie tylko wymalowani lub wysnieni dorównały jej mogli. Cherubin, zda się, który od boku Madonny Rafaelowskiej, na ziemię zleciał i wnet skrzydła na chwilę ukryte roztoczy. Tragizm, tkwiący w kontraście tej powłoki z wnętrzem pod nią ukrytem, biczował serce matki. Co chwilę ramiona jej podrywały się, aby objąć tę postać prześlizną, przycisnąć ją do piersi, miłośnie wyszeptać nad nią: moja! moja! i co chwilę opadały tknięte przypomnieniem tego, co się w niej ukrywało, niemal odrazą. A kiedy tak zejdą się w jednym sercu ludzkim, na jednym przedmiocie, miłość i odrazą, niema dla serca ludzkiego męki większej nad to spotkanie.

Mówiła jej o synu swoim, a jej bracie, o rok jeden zaledwie od niej starszym, a już na czole noszącym chryzmat męczeństwa za ideę. Uwięziony był i młodemu życiu jego groziły niebezpieczeństwa poważne. Czy uniknie ich, któż wiedzieć może? Tymczasem, ciało i duch jego zarówno są udręczone.

Myślała, spodziewała się, że odbity w słowach jej obraz brata z cierniowym wieńcem u skroni, wydrze z ust siostry choć jeden krzyk żałości, wzbudzi w jej sercu choć jedno poruszenie szlachetne, wywoła w jej pamięci wspomnienie chwil dzieciństwa, w których oboje, do kolan matki przytuleni, z jej ust i piersi przyjmowali w siebie tchnienie idei i ideału. On stał się ich pełen i ginął. Ona, w sukni, — jak przystoi aniołom, — niebieskiej i białej, od słynnego krawca pochodzącej, więc przepięknej, skromnie opuściła powieki na przepiękne lazuruwe źrenice i głosem, którego czarowi dorównywać mógł tylko czarujący słodczą uśmiech, odpowiedziała:

— O mamo! Jakże mi żal, że Janek sprawia mamie tyle zmartwienia! Ale on był zawsze tak popędliwy, nierozważny! I taki marzyciel!

Wtedy matka, z poczynającym wzbierać uniesieniem, zapytywać poczęła, czy nie obchodzą jej cierpienia brata i groźby nad losem jego zawieszono?

A córka, ruchem niewinnie dręczonej ofiary, rozwierając dłonie, odpowiedziała zapytaniem wzajemnym:

— A cóż ja mogę?

Uniesienie weszło i wylało się potokiem słów gorących. Co może? Gdyby miała serce, mogłaby współczuć bratu, czuć się nieszczęśliwą jego nieszczęściem i gdy on stoi na krawędzi przepaści, nie chodzić po świecie w postaci triumfatorki, przyobleczonej w szaty godowe i w radosny spokój dnia słonecznego! Gdyby kochała tę ideę, którą ona obojgu im wszczepiała w dusze, mogłaby teraz, gdy on za nią ginie, nie tańczyć na balach... nie brać udziału w wesołych wycieczkach, nie wybierać się w podróż zbyt kłopotliwą, która będzie tylko gonitwą za przyjemnościami własnymi i na długo oddali ją od tych, którym bliska, którzy teraz tak strasznie cierpią...

W miarę, jak uniesienie jej wzrastało, w piersi stojącego przed nią Anioła poczynało również coś buntować się i oburzać. Z ust różanych zniknął uśmiech słodczy czarującej, a zastępował go uśmiech ironiczny, ledwie widoczny zrazu, potem wyraźny i kłujący. Towarzyszyły mu słowa, pełne uczucia doznawanej krzywdy.

Jakto! Ona więc ma być odpowiedzialną za postępkę starszego od siebie brata, znośić karę za jego wybryki nierozważne, wyrzekać się przyjemności życia dlatego, że jemu podobało się dobrowolnie złamać sobie życie! I bez tego, wtrącona w małżeństwo niedobre, które zerwać musiała, czuje się nieszczęśliwą, i gdyby jeszcze trzeba jej było ubrać się w szaty zakonne i zamknąć się w czterech ścianach, jak zakonnicy...

Myśl, że mogłaby stać się podobną do zakonnicy, rozśmieszyła ją i rozpędziła chmurę gniewu, wzbierającą na czole liljowem i w źrenicach lazuruwych. Zaczęła śmiać się i z wdziękiem niewymownym całować rękę matki.

— Już pójdę sobie! Mama jest dziś zdenerwowana i potrzebuje spokoju, a ja i bez tego przyrzekłam komuś, że przyjmę go u siebie o tej porze... Więc lecę! Niech mama się uspokoi... A gdybym Jankowi mogła być w czem użyteczną, to i owszem, chętnie, proszę tylko powiedzieć jak i w czem... Tylko zakonnica, to już z miłości dla niego nie zostanę za nic... uch! za nic, za nic!

Swawolnie wzdrygnęła się i ze śmiechem figlarnym, prawie dziecięcym, wybiegła z pokoju. W śmiechu jej figlarnym, niemal dziecięcym, drgały nuty przykre, kłujące... tak kłujące serce matki, że opadła na sprzęt najbliższy z rękoma załamane, ze zmarszczką bolesną na czole...

Skąd wzięło się, jakim sposobem w łonie jej powstać mogło to dziecko samolubne, płochę, zalotne, zmysłowe? Czyż rzeczywiście ona to na świat je wydała? O, czuła dobrze, że tak było po bólu, który ją przejmował, i po tym nadewszystko boju miłości nieginącej ze wzmagającą się odrazą, który toczył się w jej sercu. Macierzyńskie serce nie mogło przestać kochać, a człowieczą duszę przejmował dreszcz wstrętu.

Nie po raz to pierwszy w życiu doświadcza tej rozterki zbiegających się na jednej drodze głowie uczuć pociągu i wstrętu, musu potępienia i chęci błogosławienia.

Oprócz niej, matki, istota, która opuściła ją przed chwilą, miała przecież ojca. Fizycznie do niego podobna, duchowo jest wiernym jego wizerunkiem. A niegdyś, niegdyś, ona

człowieka tego za jego piękność, za jego wdzięk, za mnóstwo pozorów, które ją złudziły, kochała tak, jak kocha to dziecko, i tak samo z kochaniem tem splotła się w niej potem odraza do jego serca samolubnego, zmysłowej pożądlivosti, z jaką pił z czary użycia, nie zważając na wypełniające ją do połowy lży cudzej krzywdy. Człowiek ten żył kędyś, ale dla niej nie było go już na świecie. Córkę ulubienicę uposażał hojnie w środki do zaspokajania pożądań podobnych tym, które zapełniały własną jego przeszłość i terażniejszość; odwracał do reszty zimne to serce od matki i wszystkiego, co dla niej było drogim lub świętem.

Kłótnia dwóch najniepodobniejszych do siebie duchów, sprzęgniętych z sobą przez chwile wspólnych uniesień i złudzeń, nie skończyła się razem z rozstaniem, lecz rok po roku i niemal dzień po dniu, dotykała życie tej kobiety mnóstwem drobnych ukłuc albo ciężkich razów. Straszna omyłka, przed laty popełniona, rozpostarła na zawsze pomiędzy tem życiem, a słońcem cień tak trwały, że nigdy już nie dosięgnęło go w pełni ciepło i światło słoneczne. Cięższym czy lżejszym, łagodniejszym czy sroższym, zawsze już życie to płynęło zmrokiem i chłodem.

Opanowały ją wspomnienia.

Istnieje na dnie serca ludzkiego łożysko, na którym w czas powszedni przeszłość śpi i milczy, lecz budzi się i nabiera głosu w każde święto bólu. Istnieje pokrewieństwo jakieś, czy tajemnicze przymierze pomiędzy bólami terażniejszymi i przeminionymi. Ten, który dziś się zjawiał, przywołuje — jakby na pomoc — braci z lat dawnych, którzy wydawali się pomarłymi. I okazuje się, że nie pomarli, tylko spali.

Dla niej świętem bólu była rozmowa z córką, stoczona przed chwilą, więc na dnie serca jej pobudziły się i głos podniosły wspomnienia, zazwyczaj uśpione i milczące.

Przed oczyma jej przesuwając się poczęły korowodem długim wszystkie przerażenia, upokorzenia, żalości, rozpacz, zaznane w związku i pochodzące ze związku, w którym tkwiły obietnice pokoju, radości, słodyczy, siły.

I razem ze wspomnieniami opanowały ją zapytania.

Dlaczego życie nie dotrzymało jej obietnic, dawanych u początku pięknego, jak wschód jutrzeńki? Dlaczego nie dotrzymuje ono w pełni obietnic swych nikomu z ludzi? Dlaczego po cudnych wschodach jutrzeńek przychodzą chmury, sloty, gromy, trzaski drzew, łamiących się w wicherze, westchnienia kwiatów mdlejących i zamordowywanych słowików? A potem wieczory szare, długie, z mdłymi lampkami miasto gwiazd, — a potem noce głuche, wieczne, ze śniegiem na grobach?

Cel tych wszystkich ślepot i przejrzeń, snów cudnych, które zaledwie w szkicu bladym sprawdzać się mają i tej jawy beznadziejnej, która skończyć się nie ma nigdy? Stała oko w oko z wieczną zagadką bytu, nie własnego tylko, ale powszechnego bytu i, wpatrując się w tę głębię, z dnem na wieki ukrytem, czuła w głowie nieledwie obłąd myśli, a w piersi ckliwość nudną, gorzką i nieznośniejszą od samego bólu.

Rozstąpiły się kędyś pod niebem obłoki jesiennie, promień słońca zaigrał po fałdach firanek, oblał złotem pęk chryzantem i odbity w krawędziach kryształowego wazonu, z którego się wychylały, rzucił na sufit parę odłamów tęczy drgających i ruchomych. W innym wazonie zapachniała rezeda, brzegi książek i albumów zaświeciły bladem złotem i na ładnym parawanie uwypuklił się, skrzydła barwne wydobywając z cienia, ptak różanością i srebrem wyhaftowany pod niebem Japonji.

Wszystko to było tłem, na którym postać jej napojona smutkiem wspomnień i ckliwością pytań, nie mających odpowiedzi, z głową chylącą się coraz niżej, ze wzrokiem zagasłym, wydawała się zmalą, skurczoną, znękaną. Od szarej barwy sukni wydawała się cała osypaną popiołem.

Otaczały ją rzeczy ładne, miękkie, połyskujące, miłe, — ale cierpiała.

Promień słoneczny, ten sam, który stworzył dwa ślizgające się po suficie motyle tęcze i wydobył z cieniu różowego ptaka, padł na leżącą w pobliżu kartę papieru. Z tą kartą gdy wypadkiem spotkał się zgasły wzrok kobiety nad otchłanią bytu dumającej, jak iskrą elektryczną tknięta drgnęła, wyprostowała się i wyciągnęła po nią rękę.

Był to list uwięzionego syna, krótki, z niezmiernym wydatkiem trudów i kosztów otrzymany. Otrzymała go przed dwiema godzinami i już po wiele razy przeczytała. Teraz czytała znowu. Zawierał kilkadziesiąt słów zaledwie, ale dla niej były to skarby, od których

oczy jej długo oderwać się nie mogły. Po chwili, z oczu tych na ręce, na suknię, na kartkę papieru, padać poczęły duże krople łez.

Z za zasłony łez czytać już nie mogła, lecz nie wypuszczała z rąk przedmiotu, którego dotykały jego ręce, i, zamiast kartki papieru, widziała u kolan swych jak żywą, jak żywymi oczyma na nią patrzącą, głowę syna.

O najdroższy! Ukochany! Po tysiącokroć błogosławiony! Orle mój z przesytem kulą skrzydłem! Mój, mój, mój ty biedaku!

Ostatni wyraz po stokroć powtarzając, płakała coraz cięższymi łzami, a jednak, gdy otarła z łez oczy, jaśniało w nich coś nakształt pocieszenia, coś nakształt promienia, ściągniętego z górnych szlaków.

Czy rzeczywiście był biedakiem? Czy nie był w samej istocie rzeczy ludzkich stokroć bogatszym i szczęśliwszym od tego drugiego jej dziecka, które tam kędyś, w tej samej chwili, pędziło czas na jakiejś rozmowie pustej i może przybliżało się coraz więcej ku przepaści... Oboje byli bliscy przepaści...

Ostatnie słowa wstrząsnęły nią łkaniem takim, że przecięło wątek myśli i nic w niej nie zostawiło, oprócz uczucia dwóch noży, zatopionych w sercu.

Ale po chwili myślała znowu.

Ta przepaść, której krawędzi jego stopy dotykają, pełna ogni świętych. Jeżeli w nich zgorzeje, to zgorzeje na tym samym stosie, który tyle razy, tyle już razy był grobem sprawiedliwych i świętych ludzkości.

Wszakże to ona sama wiodła go ku temu stosowi ofiarniczemu, od dni prawie niemowlęcych napelniając mu serce tą miłością i tą ideą, których własne jej serce było pełne. Skąd je wzięła?

Z krwi ojca, który za nie przeniósł tęsknoty i śniegi Sybiru, z mleka matki, która go pokochała za to, że je chciał przenieść i odważnie przeniósł. Wzięła je, tę miłość i ideę od przeczystej ciszy pól rodzinnych, przedziwne pieśni szumiących rodzinnych lasów, od złotych kłosów, od brylantowej zorzy, od bzów pachnących u domowego progu, od obłoków, mieniących się czarodziejską grą blasków i kształtów pod rodzinnym niebem.

Wzięła je z powieści o dawnej chwale narodu, z szumu, który na polach zwycięstw wydawały skrzydła jego husarzy, chóru jego poetów, śpiewnego jak wymarzone pienia anielskie, z luny ognistej, która biła od długiego jak długie stulecia korowodu jego wielkich duchów.

I więcej jeszcze wzięła je od niedoli, która wśród tych ciszy i wśród tych szumów, czołgając się po tej ziemi, ciężką pierś swą na niej kładła, słowiki jej dusiła, krople rosy przemieniała w krople krwi, a nosiła imiona, które wszystkie były przeczeniem imion dla niej najświętszych na ziemi, imion, przed którymi ze czcią bez granic pochylała głowę.

Wszystko to odrodziło się w jej synu.

Ona mu to dała ze swego macierzyńskiego mleka, z każdej godziny razem przeżytej, z każdego uniesienia serdecznego, którym wznagała bicie jego serca — i oto — dokąd go zawiodła!

Ona, ona sama pchnęła go tam, kędy się znajduje.

Pomyślała o tem po raz pierwszy i myśl ta przesywać ją poczęła od stóp do głowy błyskawicami nieznannej męki. Ona sama... ona sama... z jej przyczyny...

Nie myślała, że z jej winy, nie. Istniały w duszy jej ołtarze, którymi nawet wicher męki zachwiać nie mógł! Nawet wśród męki wiedziała i czuła, że dziecko swe wiodła ku ołtarzom świętym.

Lecz, przeszło ją od stóp do głowy zapytanie: czy wiodła je drogą dobrą? Bo są różne; znała je i nad każdą z nich samotnie lub razem z nim nieraz myślała. A jeżeli omyliła się, jeżeli omylili się oboje? Jeżeli ofiara była ołtarzowi niepotrzebną, lub... kto wie... niemłą, szkodliwą... Bo i tak utrzymują niektórzy...

— «Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa,
Twem dobrem tylko, a nie człowieczeństwa,
Unikaj męczeństwa!»

Jeżeli rozminęła się z tym drogowskazem i dziecko jej poszło za nią na drogę błędną, aby zginąć dla „swego dobra tylko”... O, krwawe dobro!

O, głowo najdroższa, stojąca w ogniu męczeństwa, może — nadaremne!

Teraz już nie siedziała, lecz leżała na sprzęcie, nad którym w wazonie kryształowym wznosił się pęk złocistych chryzantem, z twarzą ukrytą w dłoniach, wstrząsana głośnami łkaniami.

Nie myślała o tłumieniu odgłosu łkań, nie spostrzegła, że włosy jej, rozpaczającymi palcami stargane, gęstą falą okryły jej plecy. Wstrząsana płaczem nieutulonym, wiła się z bólu.

Urodzone z pocałunku słońca z kryształem motyle tęczowe znikły z sufitu i błyski rozpalone przez promień słoneczny w pozłotach książek i albumów pogasły; lecz rezeda, jak wprzódy, rozlewała po pokoju falę słodkiej woni, chryzantemy podnosiły z wdziękiem złociste korony, w ciszę i głęboki spokój panujący dokoła wpadały z za ściany metaliczne dźwięki naczyń porcelanowych, czy srebrnych...

Wśród kwiatów, książek, przedmiotów pełnych wdzięku, wśród spokoju, przerywanego lekko podzwaniającym dostatkiem domowym — cierpiała szalenie.

Lecz należała do natur, które umieją dźwigać się z cierpienia; samotnie dźwigać się, bez niczyjej ręki pomocnej i bez słodczy niczyjego pocieszenia.

Dźwignęła się z miękkiego sprzętu, który przez godzinę był dla niej lożem tortur, i wzrokiem błędnym jeszcze powiodła dokoła.

Nie, tak nie można! Szaleć z bólu, gdy siły jej mogą być potrzebne... nie można!

Gdyby głowę roztrzaskała o ścianę, niczemby to nie pomogło i nie zapobiegło... Gdy żyć i czuć będzie, kto wie? czy z dwojga nieszczęsnych jej dzieci, jedno, u serca jej, pod jej dachem, nie znajdzie kiedyś ucieczki jedynej, a drugie... Syna zobaczy za dni kilka. Ma to już przyrzeczone sobie i nie powinna ukazać mu twarzy znękanej, zestarzałej.

Powstała, rękoma jeszcze drżącymi poczęła zwiijać u głowy rozrzucone włosy. Myśl o widzeniu się z synem kropłą siły zakrążyła jej we krwi. I życie powszednie ją wzywało. To i tamto uczynić dziś musi; temu i tamtemu coś przyrzekła...

W piersi uczuła ciężar, tłumiący oddech; jakby leżał na niej jeden z tych kamieni polnych, które niegdyś, w czasie przechadzek wiejskich, tak lubiła...

Przypomniała sobie wieś, drogi polne, kamienie przydrożne, całą naturę. Połowę życia spędziła wśród natury, piła z jej tworów i z jej widoków wiele radości i wiele pociechy. Teraz żyła w oddaleniu od niej...

Ale i tu po ulicach miasta przelatują powiewy od pól kochanych, nad dachami jest niebo.

Zapra gnęła świeżych powiewów dla piersi bolących i widoku nieba dla oczu spłakanych.

Wkrótce potem znalazła się na ulicy, którą lubiła za to, że była ustronna i cicha, że z dwu jej stron wznosiły się domy i ogrody do wiejskich siedlisk podobne, że idąc nią, mogła być prawie pewną uniknięcia spotkań, któreby usta jej, dziś tak strasznie smutne, zmuszały do rozmów płonnych, obojętnych.

II

Szła powoli chodnikiem ulicy, w fałdach okrycia wysmukła i zgrabna, z twarzą, która pod szerokim skrzydłem czarnego kapelusza wydawała się jeszcze bielszą, delikatniejszą, niż przedtem. Ulica była pusta; pod niebem, szaremi obłokami powleczonem, drzewa ogrodów stały w ciszy smętnej i w mieniącej się złotem i czerwienią szacie jesiennej. Po tych drzewach przesuwaly się spojrzenia oczu jej od płaczu zmęczonych i brały od nich ukojenie. Znikąd więcej wziąć go nie mogły. Znikąd i od nikogo. Mnóstwo ludzi było w tem mieście i wielu z nich znała; jednak ta ujrzana cząstka natury wydawała się jej bliższą, łagodniejszą od nich, którzy nie lubią smutnych, ani tych, co zbyt często spoglądają w górę. Ona często spoglądała w górę i dlatego zapewne była teraz sama na świecie zupełnie, nie miała do kogo w ciężkim momencie życia pójść po ukojenie i brała go nieco od drzew stojących w ciszy smętnej i w szacie jesiennej.

Wtem o słuch jej uderzyły dźwięki szczególne, którym przysłuchiwać się zaczęła, gdyż zrozumieć nie mogła, co znaczyły. Za jakimś parkanem, w pobliżu jakiejś bramy głos jakiś mrukliwy, ochryply, szorstki, bez przerwy, albo z krótkimi przerwami, powtarzał sylaby, niewiedzieć jakie znaczenie posiadające.

— Czyk-czyk! Czup-czyk! czyk-czyk-czyk — czup-czyk!

I zaraz potem:

— Pudź! pudź! pudź! prędeje! pudź!

A potem znowu, monotonnie, jakby automatycznie i zarazem, jakby z miłosną nutą w ochryplym głosie:

— Czup-czyk! czyk-czyk! Czup-czyk-czyk-czyk!

W minutę potem z bramy pobliskiego domu wysunęła się na chodnik ulicy postać kobieca gruba, ciężka, szara, a tuż za nią wybiegła inna, również jak ona brudna, lecz żółta, zwinna postać małego psa.

Żebraczka? Ale, jeżeli żebraczka, to cóż znaczy sterczący nad jej ramieniem długi kij, z ostrym krukem u szczytu? I ten piesek z gęstą sierścią splątana, który nieustannie zabiega przed jej grube stopy, jakby z zapytaniem podnosi ku niej długi, wyostrzony pyszczek i którego ona ciągle, ciągle, jakby automatycznie, z nabranego oddawna nałogu, przywołuje głosem mrukliwym, chrypliwym, monotonnym.

I nie jest to tylko przywoływaniem, ale jakby zarazem jakąś automatyczną, ponurą pieszczotą.

To łachmaniarka. Ten kruk na długim drągu służy do wydobywania ze śmietnika zdobyczy upatrzonych, a ten piesek, to zapewne jej ulubieniec, towarzysz.

Ciężkie stopy, owinięte szmatami płóciennymi i pokryte resztkami grubego obuwia, utraciły bez śladu podobieństwo do stóp kobiecych, ze stopami wogóle ludzkimi słabe zaledwie zachowały. O te bezkształtne kończyny obija się postrzępiony skraj bezbarwnej sukni, ze zgarbionych pleców opuszcza się coś grubego, zrudziałego, połatanego, głowa owinięta czemś podartem i brudnym. Niepodobna znaleźć nazw dla różnych części jej odzieży. Nędzarka! Zapewne bardzo stara, bo ma chód powolny i ciężki, plecy zgarbione i to monotonne mruczenie: czyk-czyk! Czup-czyk...

A potem.

— Pudź! pudź! pudź!

I znowu, w nieskończoność.

— Czyk-czyk-czyk-czyk!

Dwie kobiety, tak z powierzchowności do siebie niepodobne, jakby dwóch planet różnych były mieszkankami, szły o kilka kroków jedna za drugą dość długo, aż łachmaniarka, zmęczona może, zatrzymała się przy małej ławce u parkanu ogrodu umieszczonej i z ciężkiem stęknieniem na niej usiadła. Natychmiast potem wskoczył na tę ławkę mały jej towarzysz, piesek, i cały prawie ukrył się pod czemś, co kształtem przypominało ramię ludzkie, a ona, nie patrząc na niego, zaraz rozpoczęła swoje wieczne: czyk-czyk! teraz tylko czulsze jakby niż przedtem.

Kobieta ładna, choć niemłoda, w swem ładnym, choć skromnym ubraniu, wysmukła i biała, w tej chwili dopiero zobaczyła twarz łachmaniarki i na mgnienie oka przystanęła... Coś dawno znanego i dawno, dawno niewidzianego zamigotało przed nią w tej twarzy małej, ciemnej, pomarszczonej, starej, ale mniej starej, niż wydawały się kształty postaci. Co to? Kto? Ktoś znany niegdyś... niegdyś...

Minęła ławkę z siedzącą na niej nędzarką i poszła dalej, lecz idąc, zaczęła niewiedzieć dlaczego myśleć o tem, o czem przedtem nie myślała. Niewiedzieć dlaczego cisnąć się jej do głowy poczęły mętne, ulotne przypomnienia rzeczy dawno przeminionych i niewidzianych... ścian domu rodzinnego, jakiejś altany ogrodowej, w której wesoło rozmawiając, siedziały nad rącznemi robotami dwie młode dziewczyny... To za tą twarzą, przez kilka sekund widzianą, ciągnęły te przypomnienia.

Kilkadziesiąt kroków uszedłszy, wróciła i szła znowu ku ławce, na której, pod szeroko rozpostartą, czerwoną gałęzią gruszy, podobna do ciężkiej bryły, szarzała siedząca nędzarka. Powstał w niej dziwny niepokój, mętne uczucie, że coś złego popełni, jeżeli nie przypatrzy się uważnie... nie rozpozna...

Mijając ławkę, patrzyła, usiłowała rozpoznać, ale wnet spuściła powieki, bo łachmaniarka podniosła na nią oczy, które błysnęły iskrą ostrą, przykrą i zarazem, rzecz niespodziewana! z pośród zmarszczek niezliczonych i z pod powiek zżółkłych dziwnie czystym błękitem źrenic...

Ten błękit źrenic tak czysty, turkusowy, że podobny mu rzadko w oczach ludzkich napotkać można, rozdarł przed jej pamięcią zasłonę, utkaną z łachmanów, ze zmarsz-

czek, z całej tej nędzy... Jak żywa z za zasłony wyszła i przed pamięcią jej stanęła śliczna dziewczyna, młoda, świeża, wesoła, niegdyś, dawno temu, bliska jej i miła...

— Julka!

Imię to rozległo się w jej sercu, jak echo przylatujące z domu rodzinnego, opuszczonego i utraconego oddawna... Tam ją znała, codziennie żyła z nią... Służąca, nie służąca, córka małego oficjalisty jej ojca, trochę służąca, trochę towarzyszką, lubiona, pieszczona... Obydwom dziewczynom było na imię Julja. Dla odróżnienia, na jedną wołano: Julcia, a na drugą: Julka. I oto... Czy być może? Jakim sposobem tak nisko... tak głęboko...

Może myli się? Najpewniej to omyłka... Jednak, przekonać się musi koniecznie, głęboko czuła w sobie tę konieczność, mus prosto; nie wiedziała i nie myślała wcale o tem, czy był to mus serca, albo sumienia, ale musiała... Wróciła znowu. Łachmaniarka siedziała jeszcze na ławce, stojącej u parkanu pod czerwoną gałęzią gruszy, ale tym razem, z głową zwróconą ku nadchodzącej kobiecie, zdawała się na nią czekać, i oczyma spotkawszy się z jej wzrokiem, zaśmiała się krótko, szydlerczo. Było to podobne do kilku gwizdnięć szybko jedno za drugim wylatujących z warg zgniecionych ręką nędzy, żółkłych, obrzmiałych...

Okropnym śmiechem tym ugodzona, Julja szybko ją ominęła i krokiem przyśpieszonym poszła dalej. Lecz teraz była już zupełnie pewną, że nie omyliła się. Była to Julka, owa niegdyś dziewczyna śliczna i wesoła... O Boże! Cóż z ludźmi czyni życie! Co uczyniło z tą dziewczyną! Wiele już lat upłynęło, odkąd straciła ją z oczu i nic wcale o niej nie wiedziała, nigdy też prawie o niej nie myślała. Teraz przybyło do niej mętne przypomnienie o niewyraźnie zasłyszanem zniknięciu jej z domu wiejskiego i zamieszkaniu w wielkiem mieście, podobno z kimś, ale nie wiedziała, czy nie mogła sobie przypomnieć z kim. Jakaś historia smutna, lecz pospolita; jakaś droga może różami z razu usłana, a potem ciemna, na którą zapewne wiodły tę kobietę te jej niegdyś przedziwne piękne oczy turkusowe... Było to dawno, dawno. I oto, jak teraz spotkały się ze sobą! I oto co uczyniło z nich życie!

Tak, z nich; z tamtej, ale również i z niej samej. Bo jeżeli ciało tamtej okrywały łachmany, to jej serce okryte było ranami, których ból srogi, po chwilowem zapomnieniu, tak silnie uczuła, jak gdyby mnóstwo nożów czy sztyletów, przez chwilę nieruchomo tkwiących w sercu, ostrza swe obracać w niem zaczęło, krwawiąc i rozdzierając wszystkie jego tętnice i tkanki.

Córka! Syn! Oboje nad przepaściami różnej natury, lecz pomiędzy którymi niewiedzieć która śmiertelniejsza! Wszystkie przeniesione zawody, rozczarowania, rozdarcia, i ta samotność bezbrzeżna, która otoczyła ją w przedwieczornej porze życia, ją, która przez całe życie pragnęła służyć i z całych sił służyła ludziom, dobru, idei. I ta niewdzięczność ludzi, i ta ich niepamięć, i to ich rozproszenie na atomy samolubne, do baniek, pychę i żądzą wyдутych podobne, i te męki przez myśl wykształconą, więc pełną zapytań i wątpień, zadawane...

O Boże! ileż ran, ileż smutków i żalob, ile trwogi i bólu! I za co? I po co? W jakim celu? I czy jest cel?

Zaczęła znowu cierpieć gwałtownie, tak jak przed godziną cierpiała w swoim ładnem mieszkaniu. Uczuła chęć rzucenia się na twarde kamienie chodnika i tak, jak czyniła wtedy na miękkim sprzęcie, wicia się po nich z głośnym płaczem. Lecz powściągnęła płacz i tylko szła prędko, coraz prędziej, myśląc ciągle o tamtej i o sobie.

O, nieszczęśliwa, biedna, ta jej dawna miła Julka! Czy nieszczęśliwsza i biedniejsza od niej? Wątpiła o tem, jednak uczucie litości przenikało ją do głębi. Były niegdyś towarzyszkami uciech młodych; nie były i teraz siostrami w cierpieniu? Łachmanami okryta, brudna? Cóż to znaczy? Wszystkie różnice, wszystkie względy, wszystkie wstręty, jak blade mgły rozpraszają się i nikną przed krwawą purpurą tego Pana ziemi, którym jest cierpienie.

Wróciła znowu i szybko, śpiesznie dążyła ku miejscu, na którym pozostawiła tamtą. Zatopiona w myślach, odeszła była dość daleko i teraz lękała się, że już jej tam nie znajdzie. Szybko więc szła, prawie biegła, i gdy zdala już ujrzała, że ławka pod czerwoną gruszą była pusta, ręce jej splotły się boleśnie.

Odeszła! Dokąd poszła? Niepodobna wiedzieć o tem? Ale może udała się w stronę przeciwną i dogonić ją będzie mogła! Albo może znajduje się kędyś w pobliżu, na dziedzińcu którego z tych domów... nad śmietnikiem? Na myśl tę wzdrzgnęła się. Przyzwyczajona

czajenia całego życia, smak uwytworniony w otoczeniu czystym i pięknym wstrząsnęły się w niej odrazą. Ale było to poruszenie natury fizycznej, a dusza jej tęskniła do tej nieszczęsnej, do tej chodzącej po świecie z ciałem w lachmanach, tak jak ona chodzi po nim z sercem w ranach. Szukać! znaleźć! ogarnąć ramieniem! pocieszyć! podźwignąć!

Stawała przed bramami domów, zaglądała w głąb dziedzińców i zarówno wyobraźnia jej, jak serce, pracowały z szybkością, właściwą naturom żywym i uczuciowym. Jeden dziedziniec pusty, drugi, trzeci; ulica także pusta. Kilku przechodniów rozminęło się z nią, kilku innych dąży w różne strony, ale tej, której szuka...

A! nakoniec! Zobaczyła! Zobaczyła swoją dawną Julkę, w głębi dużego dziedzińca, pochyloną nad śmietniskiem...

III

Z plecami zgarbionymi pod grubą, poplamioną, połataną salopką, głowę w płóciennej szmacie, z pod której dobywały się rozdartane pasma włosów, wyciągała ku pagórkowi śmieci, opasanemu drewnianą, dość wysoką ramą; ręce małe i które niegdyś kształtne mi być musiały, lecz teraz miały barwę zeschniętego i przepalonego drewna, trzymały długi kij, z głęboko zakrzywionym krukem, lecz były bezczynne. Drewniana rama, opasująca śmiecie, utrudniała jej bliski do nich przystęp. Więc też oczy jej z pod powiek obrzmiałych przesuwaly się po ohydnych pagórku z błyskami niepokoju i pożądliwości, a zmięte wargi wypuszczały z siebie swe niecierpliwe teraz, niespokojne, syczące — Czyk-czyk! Czup-czyk-czyk!

Piesek zaś, który przed chwilą przeskoczył już był parę umieszczonych jedna nad drugą desek, stał się prawie niewidzialnym; bo elastyczne nagromadzenie prochów, ździebeł, przedmiotów imienia nie mających, uginając się pod jego sprężystemi skokami, tak go niekiedy zasypywało i okrywało, że na powierzchnię wydobywały się zaledwie końce kudłatych uszu lub wierzchołek grzbietu, porośłego kępami żółtej, splątanej sierści. Szukał, węszył, rozkopywał, związał się, zapadał w głąb, wydobywał się na powierzchnię, pobudzany i zagrzewany przez nieustannie mrujące i syczące w pobliżu: czup-czyk! szu-kaj! szu-szu-szu-kaj, czyk-czyk! szu-kaj!, aż poskoczył i wyciągniętej ku niemu ręce małej, ciemnej, drżącej podał u długiego pyszczka zawieszoną szmatę, po której poznać można było, że miała pierwotnie kolor czerwony. Ręka chciwie pochwyciła przedmiot i schowała go do płóciennej torby, a szare, zwinne stworzonko było już znowu na środku pagórka, węsząc, biegło po nim, rozgrzebywało je szybkimi ruchami przednich kończyn, zatapiało się w nich i znowu, wydobywając się na powierzchnię, w radosnych podskokach przynosiło znowu ręce wyciągniętej ku niemu przedmiot jakiś, z trochę jeszcze metalicznego blasku, który ręka ta chciwiej niż poprzedzający pochwyciła i wrzuciła do płóciennej torby. Zaledwie zaś ta niegdyś obficie wyślaczana, a teraz zestarzała i na śmietnisko wyrzuciona okładka książki zniknęła w torbie, piesek był już znowu na pagórku, rozgrzebywał go, biegł po nim, węszył, pracował...

Był to więc nie tylko jej ulubieniec i towarzysz, lecz również pomocnik. Pracowity pomocnik i wesoły. Skoki jego były sprężyste i lekkie, ze zmyślnego, zaostrego pyszczka wyrzywały się kiedy niekiedy radosne poszczekiwanie. A ona kruk umieszczony u kończyny długiego kija z trudnością zatapiając tu i owdzie w śmieciach, do których dość przybliżyć się nie mogła, zgarbiona coraz więcej, z coraz więcej roziskrzającymi się pod obrzmiałą powieką oczyma, ciągle, bezustanku, to mrukliwie i automatycznie, to z ponurą prośbą czy pieszczotą powtarzała swoje.

— Czup-czyk... szukaj... szu-szu-szu-szu-kaj... Czyk-czyk-czyk-czyk!

Szukał też, szukał, znajdował, przynosił...

Dziedziniec pusty był; nie było na nim w tej chwili nikogo z ludzi. Na umieszczone w kącie dziedzińca i drewnianą ramą opasane śmietnisko, na dwoje istot pracujących nad tem, aby wydobyć coś z tego, co było niczem, aby otrzymać możność życia z tego, co było prochem i rozkładem, patrzyły tylko duże, jasne, z wewnątrz firankami i kwiatami ubrane okna pięknej willi, żółtoczerwone drzewa otaczającego dziedziniec ogrodu i jeszcze — szeroko otwarte oczy stojącej w pobliżu kobiety wysmukłej, zgrabnej, w miękkich fałdach czarnego okrycia. Oczy te pod czarnym skrzydłem kapelusza płonęły złotawą, gorącą źrenicą, pełną zdumienia i z wyrazem bólu przesuwaly się od nisko zgarbionej po-

staci łachmaniarki do jej pracowitego pomocnika, aż wargi cienkie, od wzruszenia drżące, wymówiły:

— Julko!

Ale cichego wykrzyku nie usłyszała, czy usłyszeć nie chciała ta, której ręka wyciągała się po przedmiot, w tej chwili właśnie, z radosnymi podskokami przez pieska przyniesiony. Przedmiot ten jednak nie tak łatwo i prędko, jak poprzedzające, dawał się wyjąć z wysoko podniesionego i przekornie wstrząsającego się pyszczka. Była to duża kość, na której znajdowały się czarne i żółte resztki włókien mięsnych i tłuszczu. Piesek czuł się jakby miał prawo do uczynienia sobie uczty z tej odrobiny pożywienia, albo przynajmniej wielkie jej pożądanie, bo nie oddawał kości ręce, która po nią sięgała i nawet w gardle jego ozwało się gniewne warczenie. Wtedy ręka, podobna do suchego i opalonego drewna, tak mocno uderzyła najeżony od podniesionej sierści grzbiet pomocnika swego, że z piskiem bólu przypadł do ziemi, łupu jednak z pyszczka nie wypuszczając i na pochyloną nad nim twarz małą, ciemną, rozgniewaną, rzucając spojrzenia błyskające to trwogą, to złością.

— Oddaj! Czup-czyk... czyk... czyk... oddaj... od... daj! syczały i warczały zgniecione od gniewu wzbierającego drgające wargi kobiety.

Gardło psa odpowiadało coraz głośniejszym, gniewniejszym warczeniem.

Ta walka człowieka ze zwierzęciem, człowieka rozjątrzonego ze zwierzęciem przywiazanym, ta walka o trochę żywności, kładącej na białą kość plamy czarne i żółte, była czymś tak dziwnym, dziwnym, dziejącym się poza granicą zwykłego, ludzkiego świata, że z ust kobiety w czarnym ubraniu wyrwała dwukrotnie wykrzyk:

— Julko! Julko!

Przestraszona bez pamięci i współczucie bez granic uczyniły ten wykrzyk głośnym i nie mogła nie usłyszeć go ta, do której był zwrócony. Usłyszała najpewniej, ale zdawać się mogło, że nie tylko odpowiedzieć nie chciała, lecz że wzmógł on gniewne jej rozjątrzenie. Nie rękę już, lecz tym razem kij swój opuściła na grzbiet zwierzęcia, które u brzegu śmietniska zwinęło się z bólu, wydało parę pisków przeraźliwych i kość wypuściło z pyszczka. Lecz w tej chwili i z nią również stało się coś niespodziewanego. Na odgłos przeraźliwego pisku, na widok bolesnego zwinienia się pomocnika swego, twarz jej skurczyła się od żalości i ciężka postać przypadła ku brzegowi śmietniska, z rękoma wyciągniętymi, którymi zaczęła śpiesznie, namiętnie gładzić grzbiet, pierś, głowę pieska. Z ust jej wychodziły szybkie, urywane, pełne żalu słowa:

— Czup-czyk... czyk-czyk! piesek! biedny! dobry! Czup-czyk! Czyk-czyk! pie... sek! pieeeeeek! dobry! biedny! Litowała się nad nim, przepraszała go; wykrzywionymi palcami wygrzebała kość z drewnianej ramy, za którą była zapadła i, przybliżając ją do pyszczka psa, zaczęła prosić:

— Weź! weź! Czup-czyk! weź! jedz! piesku! jedz! Czup-czyk! czyk-czyk!

W mruczeniu jej były teraz tony błagalne, niemal pokorne. Zdawało się, że tuż, tuż rozplacze się z żalu i skruchy. Ale on dał się przebłagać łatwo i prędko; skoczył od razu na wszystkie cztery łapki, z radosnym tym razem zwinieniem się, poliznął głaszczącą go rękę, poczem, wyciągnąwszy się rozkosznie na brzegu śmietniska, wziął w posiadanie przedmiot chwilowej walki i z zarzuconymi na grzbiet uszami zapalczywie ogryzać go począł. Ona zaś wyprostowała się i twarz, która od długiego pochylecia ku ziemi aż po białka oczu krwią nabiegła, podartym rękawem salopki ocierając, prawie wesoło mruczała:

— Czyk-czyk-czyk! Czup-czyk! czyk-czyk...

W mruczenie to wniósł się głos przyciszony tym razem, który znowu wymówił:

— Julko!

Była potem chwila ciszy, w którą drzewa ogrodu otaczające dziedziniec, przedwieczornym wiatrem poruszane, wlewały trochę łagodnego szumu, słychać też było zgrzytliwe kruszenie się kości w głodnych zębach pieska.

Oczy łachmaniarki, dziwnie pod zmarszczonym czołem i obrzmiałymi powiekami błękitne i błyszczące, zatapiały się w twarzy kobiety wysmukłej i czarno ubranej, która o kilka kroków od niej stała, tak jak i ona, u opasującej śmietnisko ramy drewnianej. W oczach tych nic nie było prócz gniewnego zniecierpliwienia, połączonego z trochę urągłej ciekawości. Głos chrypliwy, pełen urągłego przedrzeźniania, mówić począł:

— No i cóż? Julka! Julka! Czego stanęłaś nademną, jak djabeł nad potępioną duszą i piszczysz: Julka! Julka! Myślisz, że nie mam uszu i nie słyszę?... Słyszałam, i kiedy nie odzywałam się do ciebie, to widać, że nie chciałam... A ty znowu... No Julka jestem, to i cóż? A ty jesteś dawniejsza panna Julja, czy tam panna Julcia... panienka, królowna... a teraz taka sama pani... królowa!... Myślisz, że nie poznałam ciebie? Oho! odrazu, tam jeszcze na ulicy, poznałam i zawierciło mi w sercu. Ot, jaka ona teraz, a jaka ja!... Kiedy przeszłaś mimo i dalej sobie poszłaś, pożałowałam tylko, że nie plunęłam na twoją białą twarzyczkę i na tę twoją sukienkę błyszczącymi paciółeczkami wyszywaną... A ty wróciłaś się, stanęłaś tu nademną i zaczęłaś swoje: Julka! Julka! Czego przyczepiłaś się? Po co djabli cię tu przynieśli? Czego chcesz?

Kobieta, na której okryciu pobłyskiwało trochę czarnych dżetów, z oczyma od łez błyszczącymi, zcicha mówić zaczęła:

— Dlaczego gniewasz się? Wszak nie uczyniłam i nie chcę uczynić ci nic złego. Kiedy zobaczyłam cię i poznałam kim jesteś, ogarnął mię taki żal, że, straciwszy cię z oczu, szukałam. Wszakże byliśmy razem młode... szczęśliwe...

Wzruszoną, łagodną tę mowę przerwał śmiech, podobny do wielu szybko po sobie następujących gwizdnięć.

— Pfi! pfi! pfi! pfi! — śmiała się gruba, szara postać w lachmanach i, wyprostowana teraz, drąg swój z krukiem prostopadłe przed sobą, w obu silnie zaciśniętych rękach trzymając, przedrzeźniała:

— Byliśmy razem młode... szczęśliwe... pfi! pfi! pfi!... A teraz ty nieszczęśliwa?... co? Może jeść czego nie masz? Może w jakiej norze zimnej i mokrej mieszkasz? Może sukieneczek błyszczącymi paciółeczkami naszywanych nie nosisz? Nie bój się! Masz ty wszystko, czego do szczęścia potrzeba... Oho! takie jak ty nie giną!

Od gniewnego uniesienia, z jakim mówiła, trochę śliny wystąpiło na jej zmięte, żółtkle wargi, a inne usta od wzruszenia drżące, z pod skrzydła czarnego kapelusza, w odpowiedź jej zaszepotały:

— Nie jestem szczęśliwa... o! gdybyś wiedziała...

Ale ona oczyma, podobnymi do turkusów w słońcu roziskrzonych, patrzyła na czarne skrzydło kapelusza, piórem strusiem przystrojone i na twarz w cieniu jego białą...

— Razem byliśmy młode!... a prawda! Może rok starszą jestem od ciebie, może dwa... a patrzajcie tylko, moi ludzie, jak to wygląda, jakie to jeszcze ładne, młode... Śliczności! Śliczności! Troszkę tylko zmarszczek nabierało się koło oczków i twarzyczka troszkę schudła... ale za to białuska jaka... i delikatna... i figurka jak u panienki... Śliczności! Śliczności!... Latka spłynęły po tem, jak woda po kamieniu... I alboż nie kamień? alboż to zatroskało się kiedy o cokolwiek? alboż co przecierpiał? alboż stękało w wilgotnym kącie z głodu i chłodu? Alboż przepląkiwało noc z opuszczenia, z sieroctwa? Alboż przewracało się z choroby po szpitalnych łózkach? Wiadomo! z rodu pijawek! Krwią ludzką opita, to i ślicznie wygląda sobie! Pfi! pfi! pfi!

Kij z krukiem trząsał się w jej skurczonych rękach i połatana salopka trzęsała się u jej piersi, wstrząsanej gwizdzącym śmiechem. Ramieniem grubym od watanego rękawa uczyniła gest wzgardliwy i, jakby nagle o czemś sobie przypominając, odwróciła się do pieska, wciąż jeszcze kość ogryzającego.

— Czup-czyk... czyk... czyk... jedz piesku... jedz... dobry... biedny... czup... czyk... czyk... czyk...

Pochylona nisko, znowu głaskała pieska po grzbiecie i głowie, na które też z oczu jej padały duże, ciężkie krople...

— Pfi, pfi, pfi! — zaśmiała się raz jeszcze, a na kudłaty grzbiet pieska padały od jej pochylonej nad nim twarzy duże, ciężkie krople.

Kobieta w okryciu błyszczącym trochę dżetowych paciółek, szybko przybliżyła się i tuż przy niej stanęła. Dojrzała jej łzy i przyjrzała się dwom bliznom czerwonym, sinawym, które na policzku i szyi jakieś dawno zagojone rany zostawiły po sobie na zawsze. Coś jakby piętna, niegdyś przez okrutne prawo na twarzach winowajców wypalane; jakby pamiętka długich nocy przewracania się na łóżku szpitalnym.

Żalem bezniermy, litością bez granic, nabrzmiały głos mówić zaczęła:

— Julko! posłuchaj mię, posłuchaj! Lubiliśmy się w młodości, nieprawdaż? Czy nie pamiętasz matki mojej, tak dobrej, miłosiernej dla biednych, i ojca mego, który cię wziął do swego domu dlatego, że byłaś przez swego ojca bitą i krzywdzoną? Czy nie pamiętasz tego cichego, pięknego domu, w którym wzrastałyśmy tak blisko siebie, tak często bawiąc się i ucząc się razem? Dlaczegoż, za cóż teraz gniewasz się na mnie i mówisz do mnie tak, jakbym ci jakąś straszną krzywdę wyrządziła? Mnie ciebie taki żal... taki żal... tak ogromnie chciałabym zrobić cokolwiek... cokolwiek... aby tobie... aby tobie...

Urwała zmieszana, złężniona, bo w powietrzu zagwizdał znowu śmiech nieprzeblagany.

— Pfi! pfi! pfi! Powiedziała, co wiedziała! Powiedziała, co wiedziała, a nic nie wiedziała! Głupia, choć edukowana! Pfi! Pfi! Pfi!

Wyprostowała się znowu, w obie ręce chwytając kij swój, który zarysował pomiędzy niemi linję prostopadłą, wysoką, z ostrym krukami u góry.

— Lubiliśmy się!... lubiliśmy się!... dom piękny!... matka miłosierna!... Stare bajki! bzdurstwa! oszukaństwa! A skąd wiadomo, że ja ciebie lubiłam wtedy, kiedy ty w salonie na fortepianie grałaś, a ja w garderobie suknie dla ciebie prasowałam? Kiedy ty ze ślicznym paniczem, co o twoją rączkę starał się, po ogrodzie spacerowałaś, a ja w kącie tego samego ogrodu trawy dzikie jak rosą łzami swemi polewałam, o tym ekonomskim synie myśląc, za którego twoja miłosierna matka wyjść mi radziła. Tobie śpiewające klawiszowe fortepianu, a mnie śmierzące żelazko do prasowania! tobie panicz piękny, delikatny, edukowany, a mnie ekonomczyk z grubą mordą czerwoną i brudnymi pazurami! Przed tobą świat cały otworem, ze wszystkimi swemi wożami, balami, elegancjami, a przedemną czarny zagon, na którym będę pokrzywy z pomiędzy marchwi wyciągać, i taki sam twardy, jak ten zagon, kulałkę męzowski! A ty i twoja miłosierna matka myślała, że ja tej różnicy pomiędzy dołą twoją i moją nie widzę, że ja tej krzywdy swojej nie czuję, że ja słońca jasnego i ciemnej nocy nie pytam się: dlaczego to tak? za co? jakim prawem? Nie byłam brzydsza od ciebie, ej, czy tylko nie ładniejsza! Czem ja byłam od ciebie gorsza? Jeszcze nic złego w duszy swojej tamtego czasu nie miałam. Takie same jak ty niewiniątko! Lubiliśmy się! Pfi! pfi! pfi! Czasem to i lubiłam Ciebie, prawda! Kiedy, bywało, obejmiesz mię, jak równą, i razem do ogrodu pobiegniemy, albo kiedy mnie w ładnym pokoju przy sobie posadzisz, to tak ciebie lubiłam, że, zdaje się, życie oddałabym za ciebie. Ale przychodziły i takie godziny, że nie miałaś gorszej nieprzyjaciółki ode mnie, że gdybym mogła, tobym cię, zdaje się, własnymi rękoma na dwoje rozdarła... ot, co! Lubiliśmy się! Pfi! Pfi! Pfi! Śmieję się ty z takiego lubienia! Dopóki głupia byłam, lubiłam! Ciebie lubiłam, wszystkich lubiłam. Ale jak zaczęłam nabierać rozumu, jak mi krzywdą zaczęła po grzbiecie sześciu końmi jeździć... krzywdą... krzywdą... Czy ty wiesz, co to krzywdą? Ty nie znasz żadnej krzywdy... ty sama, sama krzywdzicielka! No to i ciesz się, ale do mnie nie przychodź! Czego do mnie podeszłaś?... Czy ja ciebie wołałam? Ja nad swoim śmietniskiem... To moje; to mój dom; moje królestwo! Ty do tego nie masz prawa. A może wy już i śmietniska chcecie biednym ludziom odebrać? I odbieracie! Deskami ogradzają... Moda teraz taka nastąpiła, aby śmietniska deskami ogradzać... Byłe najbiedniejszemu człowiekowi ostatni kęsek chleba z gęby wydrzeć... Ale niedoczekanie wasze! Nie ja wygrzebię, to pies wygrzebie... lepszy on od was... Czup-czyk-czyk-czyk...

Zdyszana, trzęsąca się, z białkami oczu krwią zaszłemi, odwróciła się, pochyliła nad pieskiem i ruchem porywczym kość z przednich kończyn mu wyrwawszy, wrzuciła ją do torby. Poczem kij swój w całej długości wyciągając, z zapalczywością poczęła krukami w śmietnisko uderzać, wymrukując szybko, namiętnie, sycząco swoje:

— Czyk-czyk... szukaj... szu... szu... szu-szu... kaj! czyk-czyk!

Skoczył i uctą posilony, syczącym wzywaniem zagrzewany, szukać począł, ale ona, po kilkakrotnym zapalczywym uderzeniu krukami o pagórek śmiecia, z taką samą zapalczywością, z jaką uderzała, obróciła się do kobiety, w skamieniałej nieruchomości o parę kroków od niej stojącej. Przelewał się w niej, gotował się, warczał kipiątek pałacy, gorzki, — i wylewać go z siebie musiała!

— Dom piękny!... Miłosierdzie! Litość nad nieszczęśliwym dzieckiem! Dobrodziejstwa! Phi! phi! phi! Stare bajki! oszukaństwa! Ojca pijaka miałam i bił mnie — to i co? Macocha jeść mi nie dawała — to i co? Trzeba było zostawić mnie u nich, nie ruszać,

możeby zabili, niechajby zabili, a jeżeliby nie zabili, to mnie i ekonomczyk ten, albo kto gorszy jeszcze i wrywanie pokrzywy z zagonów byłoby szczęściem, bo innegobym nie znała, nie widziała. Ale zlitowali się, wzięli i — co dali? Piękny dom pokazali, na śliczności różne patrzeć kazali, do kremów i kurczątek pieczonych przyzwyczaili, na ładną i delikatną dziewczynkę wyhodowali — a potem za ekonomczyka wychodź... my swoją córkę za panicza pięknego jak anioł wydamy, a dla ciebie ekonomczyk w sam raz... albo w służbę idź, bo my musimy do miasta na mieszkanie wyjechać... Otóż nie wyszłam za ekonomczyka i w służbę nie poszłam... Mnie także panicza chciało się, i balów, i elegancji... A jakże? Albo to nie miałam takiego samego prawa, nie napatrzyłam się, nie przywykłam... w pięknym domu? I ot... pokrzywy z zagonów nie wyciągałam, ale za to stare łachmany i ogryzione przez psów kości ze śmietnisk wyciągam! Takie wasze miłosierdzie... takie łaski... stare bajki... oszukaństwo! Ot, co! I ty nie przychodź tu oczy mi dobrodziejstwami swego tateczka wypiekać, bo niech ich wszystkich tych waszych tateczków, bogaczów, wypijaczów krwi ludzkiej... niech ich...

— Nie kończ, nie kończ! — krzyknęła kobieta w czarnym ubraniu i cała drżąca, łzami zalana, w obie szczupłe swe ręce, ładnymi rękawiczkami okryte, chwyciła trzęsącą się od uniesienia, twardą, ciemną rękę, z której przed chwilą ze stukiem na bruk dziedzińca wypadł kij z krukiem.

Niewiadomo, czy słyszała wszystko, co ta rozjątrzona, ta zrozpaczona, ta straszna do niej mówiła, bo gdy mówiła, ona wpatrywała się w blizny na jej szyi i policzku tak wytężonym wzrokiem, jakby nic oprócz nich widzieć nie mogła, jakby słyszeć nie mogła nic, oprócz tej jakiejś historii okrutnej, przepastnej, o której opowiadały blizny te i dokoła nich zmarszczki rojami ponuremi obsiadające skórę wyschłą, żółkłą, w każdej tkance swej przepojoną bólem, śmiercią.

— Nie kończ! o, nie kończ! Bo jeżeli przeklniesz ojca mego, nie będę mogła dłużej mówić z tobą, ani cię wydzwignąć z tej otchłani... O Boże! jakaż otchłań nędz... i złości! Jakim sposobem, jakim sposobem mogłaś stać się tak nieszczęśliwą i napić serce takim strasznym, takim nieprzebragany gniewem?... Jak się to stało... jak do tego przyszłaś? co... kto... jakie zdarzenia...

Nie pozwoliła jej dokończyć, ale wyprostowana tak, że wydawała się wyższą niż przedtem i mniej grubą, ze swoim wyprostowanym i wysokim kijem w obu rękach, głosem mniej niż przedtem porywczym, lecz surowym i ponurym, mówić zaczęła:

— A tobie co do tego? A na co tobie ta wiadomość? Czy do tego czasu dowiadywałaś się kiedy?... Przez tyle lat czy przychodziło ci do głowy dowiadywać się? Ani dbałaś, ani myślałaś, ani wspomniałaś, opływając we wszystko, na balach tańcząc, karmelki gryząc... A teraz phi! phi! phi! przypomniła sobie babka dziewiczy wieczór! Zachciało się dowiedzieć... jakim sposobem? co? kto? I taka edukowana, rozumna, a sama domyślić się nie może! No, to już powiem! Phi! pfi! pfi! Chcesz wiedzieć, kto...: co... no, to powiem... patrzaj...

Jeden koniec kija swego od ziemi oderwała, a drugim, w kruk zaopatrzonym, poczęła wodzić w powietrzu, wskazując wielkie, jasne, w kwiaty i firanki zdobne okna willi, wznoszącej się nad dziedzińcem. Wskazywała je od pierwszego do ostatniego i potem znowu od ostatniego do pierwszego, mówiąc:

— Oto kto! oto co! Te białe pałace... te kwiateczki, te firaneczki... te ludzie, co za temi oknami, za wszystkimi takimi oknami... Wszystkie ludzie, co za takimi oknami razem z tym pierwszym paniczem, którego mnie zachciało się i który mnie zechciał... razem z tymi, co potem... razem z tobą... z twoją miłosierną matką i ze wszystkimi wami, co wszystkie smaczne pierogi z tego świata wyjadacie i wszystkie słodkie kremy z niego zlizujecie, dla biednych ludzi kości ogryzione przez te śliczne okna wyrzucając... Ot, co! Chciałaś wiedzieć kto i co? No, to wiesz teraz i daj mnie pokój, odczep się... idź i króluj, jak do tego czasu królowałaś i o mnie nie dowiaduj się, jak do tego czasu nie dowiadywałaś się... Ot, co!

Odwróciła się ku śmietnisku i poczęła przywoływać pieska.

— Czup-czyk! Czup-czyk! pudź, piesku! pudźmy stąd! pudźmy gdzie indziej... a ona niech sobie tu choć do końca świata stoi! Co jej do nas? co nam do niej! Pudźmy, Czup-czyk-czyk-czyk-czyk!

Torbę na plecy zarzuciła, kij ujęła w ten sposób, że ostry kruk wysoko nad głową jej się wznosił i z plecami mniej niż przedtem zgarbionemi, krokiem też szybszym, bo wzburzonym, szła ku prowadzącej na ulicę, sklepionej bramie willi. Za nią, w podskokach elastycznych, pobiegł żółty piesek, trzęsący w powietrzu zawieszoną u podniesionego pyszczka szmatą brudnym haftem okrytą.

Kobieta w okryciu czarnemi dżetami błyszczącym, jak martwa stała u drewnianego opasania śmietniska i z twarzą pod czarnem skrzydłem kapelusza bardzo pobladła, wciąż, nieustannie myślała.

— Prawda!... Prawda! Nie dowiadywałam się... nie myślałam... nie pamiętałam... kiedy cierpiała... kiedy ginęła... nie dowiadywałam się.. nie myślałam...

Jak czarownicze, jak zaklęte, jak przeklęte, słowa te nieustannie, ciągle przesuwają się w jej głowie, tłumiąc wszelką myśl inną i podnosząc w piersi falę uczucia podobnego do skruchy, falę zgryzoty, podobną do wyrzutu sumienia, która też po upływie paru minut rzuciła ją w pogoń za nędzarką, opuszczającą dziedziniec willi. Szybko przeszła ten dziedziniec i nędzarkę pod sklepieniem bramy dogoniła.

— Julko! Nie mogę w taki sposób rozstać się z tobą... nie mogę opuścić cię, znowu stracić cię z oczu! Prawda, masz słuszość, winną jestem... nie dowiadywałam się o los twój, zapomniałam o tobie, ale nie tańcząc na balach, nie karmelki gryząc, lecz cierpiąc, długo i bardzo cierpiąc, gorycze pijąc... dlatego może teraz taki żal nad tobą czuję, że wiem, co to cierpienie... Posłuchaj mnie, Julko...

Nic nie mogłoby dorównać szyderskiemu niedowierzaniu, z którym tamta wlepiła w nią z pod powiek obrzmiałych swoje roziskrzone, turkusowe oczy i zagwizdała:

— Pfi! Pfi! Pfi! A cóż to takiego gorzkiego do buzi ci wpadło? Romansik jakiś... za który od mężulka dostało się...

— Nie kończ! Nie sycz tak! Nie bądź tak niesprawiedliwą... powiem ci... Mylisz się, myśląc, że byłam szczęśliwą z człowiekiem, którego mi niegdyś tak zazdrościłaś...

— Nie? Nie? Pfi! Pfi! Pfi! A co? Czy nie zgadłam? Sprzykrzył się i innej śliczności ci się zachciało... jeszcze śliczniejszej... jednego było mało... nieszczęście! wielkie nieszczęście!

I nic dorównałyby nie mogło wyrazowi triumfu zjadliwego, którym zadrgały wszystkie zmarszczki jej skurczonej, zmalalej twarzy i wszystkie iskry jej rozplamionych oczu. Ale i u tamtej, dotąd tak cierpliwej, żalność i litość poczęły zapalać się iskrą gniewu.

— Niesprawiedliwą jesteś, życie napełniło cię złością... Ale było to życie nieszczęśliwe, opuścić cię nie mogę, zrozumieć się musimy... Powiem ci więc jeszcze, aby zazdrość twą zmniejszyć, twarde serce złagodzić... syna mam w więzieniu... najdroższego, najlepszego syna...

— Pfi! Pfi! Pfi! Synek dostał się do więzienia! moje uszanowanie! wieszuję. A za co? W kosteczki kogo ogrzał? Cudzą żonkę od męża wykradł? Banczek jaki okradł, aby szampanka z koleżkami chleptać?...

Z pod skrzydła czarnego kapelusza błysnęła w gorącej źrenicy iskra dumy i głos dławiony wzruszeniem nad siły wymówił:

— Za ojczyznę!

Odpowiedzią był długi, długi śmiech, złożony z gwizdnięć długich i ostrych. Kilka kropel śliny bryzgnęło z ust gwizdzących na czarne okrycie tamtej.

— Ojczyzna! Kiek-sa? Nie widziałam! nie słyszałam! Nie przy mnie pisane! Pańskie wymysły! Nie rozumiem!

Głos od wzruszenia drżący, od krwawej obrazy zdyszany, odpowiedział:

— Więc może to zrozumiesz: córka moja... chora niebezpiecznie!

— No to doktorów dla niej najmiesz, do gorących krajów ją powieziesz... gołąbkami karmić i winkiem słodkiem poić będziesz i — wyzdrowieje! Nic wam, panom i królom, złego nie stanie się, nic was nie ugryzie, od wszystkiego potraficie wykpić się swoim edukowanym rozumkiem i — pieniędzmi!

Wtedy kobieta smukła i biała, w okryciu, na którym, wśród połyskujących paciółek, świeciło mętnie parę kropel śliny, zawołała:

— Zła jesteś! zła jesteś — zła jak piekło!

I, szybko odwróciwszy się, szła ku wyjściu, prowadzącemu z bramy na ulicę. Ale uczyniwszy kilka kroków stanęła, obu rękoma powiodła po rozognionych policzkach, po bolącym czole i — wróciła.

— Słuchaj, Julko! niesprawiedliwa jesteś, zła jesteś, ale na dnie takiej otchłani! I winą czuję się przeciw tobie, że zaniedbałam, nie pamiętałam... Więc słuchaj! Chodź ze mną! Umieszczę cię w domu swoim, podzielę się z tobą chlebem i sukniami, wynajdę ci zajęcie jakieś lepsze, miłsze... Czupczyka twego lubić i pieścić będę... Chodź ze mną...

Nie gwizdanie już tym razem, lecz coś nakształt przyciszonego wycia, które miało być śmiechem, mowę jej przerwało.

— Chu! Chu! Chu! Chu! Chu-chu-chu! Patrzcie ją, do domu mnie zaprasza! Jaka miłosierna! Aniołek! Uch, jaką ja mam ochotę łachman ten z błyszczącymi pacioreczkami z pleców ci zedrzyć! A czy oddasz ty mnie ten dom swój? A czy będę ja panią i królową tego domu twego? Przecież po sprawiedliwości, to tak samo mój jest ten dom, jak i twój. Dlaczego on jest twój, a nie mój? Do domu swego mnie zaprasza z łaski, z miłosierdzia!... Uch, jaką ja mam ochotę... Niedoczekanie twoje, abyś ty mnie i mego psa z miłosierdzia swego karmić miała! On lepszy od ciebie! On mój przyjaciel! I on mój sługa! A ja sługą twoją nie będę... z głodu zdechnę, a na twój chleb nie pójdę, bo to nie twój chleb jest, ale mój, mój, co ty mi go skradłaś... Uch, jaką ja mam ochotę... ty mnie skradłaś i dom i chleb, ty Pani, ślicznotko, ty, biała twarzyczko...

Tu, z jakieś izby suterynowej, od dymu cygarowego ciemnej, od wrzawy głosów namiętych huczającej, przywiało do niej wyraz dziwny w jej ustach, lecz po wielokroć słyszany, więc zapamiętany, ulubiony. Wznosząc kij swój, który przedtem zwisnął jej był na ramieniu, krzyknęła:

— Ty... burżujko!

I, puszczając wodze ochocie, która się w niej od minut kilku podnosiła falą coraz to zapędliwszą, z szybkością błyskawiczną, ostrym krukami kija swego zaczęła u szyi stojącej przed nią kobiety o spięcie okrycia, które osunęło się na ziemię. Jednocześnie z okryciem z szyi zerwany upadł na bruk sklepionej bramy mały, złoty zegarek.

— Co to? Złotko sypie się z szyjki! Pfi! Pfi! Pfi! Złotko! Caceńko! Ot, co ja z twojem caceczkiem zrobię! Ot, co ja z tem caceczkiem, co przy serduszku twojem ciukało, zrobię! Chu-chu-chu-chu! Jaby i z samym serduszkiem to samo zrobiła... to samo zrobiła... to samo zrobiła...

Cóż robiła? Połowę ciała naprzód podała, z oczyma roziskrzonymi i śliną na wargach, z rozmiotanymi połami salopki, prędko, silnie, zacięcie przebierała stopami ciężkimi, grubymi, w brudnych szmatach i resztkach zdartego obuwia, drepcąc niemi po małym, złotym zegarku, który z cichym chrzęstem rozłamywać się począł na cząstki, rozpraszać na okruchy...

Tak męka ciała deptała po męce ducha, nie wierząc w nią, gardząc nią, szydząc z niej — oślepiona przez rozsiane na sukni błyszczące paciorki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-kto-winien/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Ostatnie nowele*, nakł. Gebethner i Wolff, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0625-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).